

CZUŁOŚĆ

Siedziała naprzeciwko mnie naga, tylko na ramionach miała zarzuconą tkaninę. Mieliśmy przerwę w zdjęciach. Nie wiedziała, czy ma się wstydzić, czy prowokować, więc próbowała na zmianę jednego i drugiego, zaś ja uparcie patrzyłem się jej prosto w oczy albo na ścianę obok. Skoncentrowany byłem bardzo i nie opuszczałem wzroku ani na moment, bo gdybym spojrzał na jej piersi albo niżej (coś, co przy fotografowaniu robiłem przecież bezkarnie cały czas), a ona by to zauważyła, to byłoby to już znaczące i ona być może lekko i zachęcająco by się uśmiechnęła, ja być może bym się nie wycofał, no i w efekcie nasze relacje zostałyby określone, jeśli tak można powiedzieć. To zaś oznaczałoby koniec tajemnicy, poznawania się, koniec fascynacji... Czyli koniec tworzenia. Cholera, skomplikowane to i męczące. Bardzo męczące, tak nie zwracać uwagi, kiedy ona jest piękna i pociągająca i do tego naga, a ja siedzę jak mnich i udaję, że umysł mam czysty i żądzą nie skażony. Będę umierając tego żałował, wiem.

Mój przyjaciel za młodu, kiedy ja jeszcze nic, a on już był bardzo doświadczony, pouczał mnie: „Wiesz, potem to jest już tylko ciało, nic więcej”. Miał rację – jeśli nie ma uczucia, to miał rację.

Poznaliśmy się jak na mnie nietypowo, bo w lokalu, w Kalamburze. Nie znoszę lokali, zawsze jest tam za głośno, a ja mam słaby głos, więc nie mogę rozmawiać. Tym razem wszedłem, żeby się napić pięćdziesiątkę jarzębiaku, ot, kaprys wsparty wspomnieniami. Kiedyś malowałem coś na ścianie kawiarni w Złotoryi, którą projektowałem; robota była nudna ale intratna, jak to zlecenie, a obok była restauracyjka, do której kiedyś zaszedłem na obiad. Kelner był niesamowicie miły, bo mu się spodobałem, tak trochę za bardzo spodobałem, i chciał przez żołądek do serca... Zrobił mi jajecznicę na pomidorach – lepszej nigdy nie jadłem. Nigdy. Następnego dnia znowu tam poszedłem, czego się wstydzę, ale ta jajecznica była nieziemską, tylko ten kelner już nie pracował, więc rozczarowany strzeliłem sobie pod schabowego pięćdziesiątkę jarzębiaku właśnie i poczułem się wspaniale. Jakby alkohol obmył mi żyły i przewiał czystym wiatrem myśli. Potem codziennie, do końca pracy, czyli około tygodnia, wpadałem punktualnie o trzynastej na tę pięćdziesiątkę, z nadzieją biologicznej odnowy, ale już nigdy nie było tak...

To wspomnienie we mnie zostało bardzo mocno, no i kiedyś wiosną, kiedy szedłem sobie bez celu, czyli sprawdzić, czy nie ma czegoś ciekawego w empiku, przypomniałem sobie tamto zdarzenie i postanowiłem spróbować, jak jarzębiak na mnie teraz działa, a poza tym jestem artystą i trzeba się kurwa zachwycać oraz odpowiednio zachowywać... Czasem sobie nagle o tym przypominam.

W środku było głośno, tłoczno, jacyś różni spoceni obu płci wrzeszczeli do siebie przy stolikach w przeświadczeniu, że świat należy do nich i wszyscy podziwiają ich arogancję i luz... Swoją drogą mieli rację, bo dziewczyny najwyraźniej to podziwiały. Kobiet nie było.

Ona siedziała przy barze, sama; początkowo nie zwróciłem na nią uwagi, nie była jakąś pięknoscią. Zamówiłem jarzębiak, wypilem jednym łykiem, chuchnąłem, rozejrzałem się po sali – nic ciekawego, tylko barmanka w białym podkoszulku i bez stanika przykuwała wzrok – i zszedłem ze stołka, żeby wyjść, kiedy ona powiedziała: „Proszę, odprowadź mnie do domu”. Siedziała obok mnie, a dopiero teraz się jej przyjrzałem. Szczupła, ciemnowłosa, ubrana w bojówki i szary podkoszulek z napisem „Zachodzi pytanie” na plecach, a „Jeszcze się ogląda” z przodu. Ładna, ale bez ostentacji.

No, ładna, więc coś mi tu nie grało; brzydką bym od razu odprowadził na przystanek i dał na bilet, trzeba się starać robić dobre uczynki, ale ładna i chce coś ode mnie? Niemożliwe... Ale mówiła przecież do mnie, bo się na mnie patrzyła, prosto w oczy, i to spojrzenie było ciepłe, takie brązowe i ciepłe, co mnie od razu onieśmieliło. „Dobrze, oczywiście, chodźmy” – powiedziałem i wyszliśmy.

Przez dłuższy czas nie mówiliśmy nic. Szliśmy raczej powoli, jak na spacerze, w kierunku Galerii i ta cisza między nami wydawała mi się właściwa, odpowiednia. Cała sytuacja była dziwna i nieprawdziwa, bo jedynym wytłumaczeniem jej zaczepienia mnie, jakie przychodziło mi do głowy, była chęć podrywu, ale po pierwsze to dziewczyna nie zaczyna pierwsza, nie w tym kraju, a po drugie życie mnie nauczyło, że nawet jak ja sam zaczynam, to muszę być sam własnie, a wokół pustynia, bo porównania zdecydowanie mi szkodzą.

W końcu postanowiłem przerwać milczenie.

- Jak się nazywasz?
- Kasia.
- Ładnie, pasuje do ciebie. To gdzie idziemy?
- Wszystko jedno, chciałam po prostu stamtąd wyjść.

Swoją małomównością od początku przejęła kontrolę nad sytuacją. Musiała wiedzieć, że jej niekonwencjonalne zachowanie intryguje mnie. Nie przeszkadzało mi to, ale chciałem to przełamać, więc postanowiłem zaatakować szczerością.

- Czy powinienem teraz wymyślić coś nieoczekiwanego? Zaproponować ZOO? Albo kręgle?

Roześmiała się.

- Właśnie tam idziemy? Do ZOO?
- Raczej nie, za daleko i za późno. Myślę, że najlepiej będzie, jak pójdziemy do parku, a potem do takiej małej knajpki na uboczu, ze stolikami na zewnątrz. Lubię ją. Chyba, że chciałabyś pójść do mnie?

Przestraszyłem się, bo to mi się wyrwało bez zastanowienia. Musiałem się ratować.

- Mam mnóstwo pretekstów. Na przykład moje obrazy. Cholera, źle mówię. Chodzi mi o pretekst do rozmowy tylko, naprawdę...
- Jesteś malarzem? – weszła mi w słowo.
- Tak się nie mówi; mówi się artysta plastyk.

Widziałem, że się zastanawia nad moją propozycją, więc przerwałem to, bo kobietom nie należy pozwalać myśleć nad decyzją. Zawsze wtedy podejmują nie taką, jak trzeba.

- Słuchaj, a możesz mi powiedzieć, dlaczego właśnie mnie poprosiłaś o odprowadzenie? Coś o mnie słyszałaś może?

- Nie. Mnie też zaskoczyło, że to powiedziałam do ciebie...

Nie chwyciła haczyka. Trudno.

- Jeżeli chcesz, to cię odprowadzę do domu, po prostu. Ciekawisz mnie i naprawdę dobrze mi się z tobą rozmawia, ale nie chcę takiego schematu, wiesz...

Przez chwilę milczała.

- Chciałabym zobaczyć twoje obrazy.
- O, to cieszę się, naprawdę się cieszę.

Nasza rozmowa była dla mnie coraz bardziej absurdalna. Sytuacja była jednoznaczna: dziewczyna poznaje faceta i od razu decyduje się pójść do niego do domu. W porządku, tylko ja nie jestem facetem, przy którym dziewczyny omdlewają, złudzeń w tym względzie nie mam od podstawówki. Czyli chodzi jej o coś innego. Nie wyglądała na ćpunkę; może rozpoznanie do włamania? Ale byłaby wtedy bardziej nachalna. No to już nie wiem. Samotna? Aż tak, żeby ze mną? Nie, za ładna i za młoda na prawdziwą samotność, ładne i samotne są tylko kobiety po przejściach, a na to była chyba za młoda...

Nie wiedziałem, co sądzić, pogubiłem się w domysłach.

W domu dostała herbatę, zrobiłem też drinka, który trochę ją rozluźnił. Ale nadal wysyłała sprzeczne sygnały: zachowywała się niby swobodnie, ale wyczuwałem w niej jakieś napięcie, może nawet lęk, tyle że chyba nie przede mną. Czasem milkła, stawiała się nieobecna, by po chwili nagle się rozgadać.

Wciąż nie udawało mi się jej otworzyć, ciągle wyczuwałem dystans.

Moje obrazy i fotografie zrobiły na niej duże wrażenie, szczególnie fotografie, całkiem też sensownie się o nich wypowiadała. Więc coraz bardziej mi się podobała...

- Dlaczego malujesz abstrakcję?
- Ja nie maluję abstrakcji. Moje obrazy są zawsze o czymś; abstrakcja nie istnieje, mózg zawsze doszukuje się kształtów, skojarzeń. Maluję na dużym uogólnieniu, szukam w sobie syntezy tych wielu obrazów, jakie widziałem; obrazów rzeczywistości, a nie płócien, oczywiście.
- Ale jeśli to jest jakaś rzeczywistość, to... Nie czuję w twoich pracach przestrzeni, wiesz?
- Wiem. Zwykle jej nie ma. I nie wiem, czemu. Tak po prostu maluję. Kiedyś malowałem postacie, akty, ale odkąd zająłem się fotografią, to straciło sens.
- Twoje zdjęcia są po prostu piękne. I to piękne jako kategoria, to jest ich cecha. Szukasz tego?
- Tak.
- Chciałabym ci pozować.

O, cholera.

- Teraz?

Uśmiechnęła się.

- Nie, oczywiście, że jeszcze nie teraz.

Rozmawialiśmy już prawie cztery godziny, zapadła noc, a ona wciąż mnie zaskakiwała. Z tym pięknem strzeliła w sedno. Dla mnie w sztuce to kategoria najważniejsza, poszukiwanie go jest najważniejszym moim celem, i to nie z wyboru, poprzez analizę, tylko tak po prostu mam, taki jestem, na to reaguję. Skąd ona to wiedziała? Że to dla mnie takie ważne?

Pamiętam swoje trzy olśnienia (poza tym nad jeziorem), kiedy kolor był tak niesamowity, tak trafiony, że aż mistyczny, aż chciałem o tym krzyczeć. Najpierw w Weronie, nieduży obraz Veronese (oczywiście), w którym niebo porażało zestawieniem różu, ultramaryny i szarej zieleni. Stałem przed nim - nie wiedząc jeszcze, czyjego jest autorstwa, później podszedłem - dobry kwadrans; po prostu się gapiłem, a obraz do mnie śpiewał. Z bliska, z pół metra, dostrzegłem biegające po polach jakieś kobiety w rozwianych szatach, ale były maleńkie i nieważne, potrzebne były tylko do nadania obrazowi tytułu. Ważne było niebo, kolor nieba... Drugi raz to było w Sukiennicach, „Portret pазia weneckiego”, chyba Gieryskiego. Malutki obrazek, ledwie dostrzegalny pośród innych ogromów, ale piękny, piękny! Widziałem go znowu po kilku latach, bo specjalnie do niego wróciłem, żeby jeszcze raz przeżyć tamto wzruszenie, ale już tak na mnie nie podziałał. Czyżby piękno było związane z chwilą? Sytuacją? Nastrojem danego dnia? Nie wiem... Możliwe; czasem widzę na przeglądach czyjeś prace i są wspaniałe, a kiedy oglądam je po kilku miesiącach, to już nie to, zupełnie nie to...

Trzeci raz to był mój obraz. Przypadkiem trafiłem, w zestawieniu do zieleni i żółci, na brąz idealny, na zestawienie tych dwóch z miliarda odcieni najtrafniejszych. To nie było tylko moje wrażenie; akurat przyszedł Olaf i od razu zaczął: „Ten brąz, ten brąz... Ja muszę go mieć, muszę mieć ten obraz, jakbyś go wyrzucał albo sprzedawał, to pamiętaj, że ja go muszę mieć...” Idiota nieszczęsny ze mnie: chciałem zrobić ten brąz jeszcze lepszym i go zepsułem, i mimo tygodnia prób nie udało mi się drugi raz aż tak trafić. Obraz wyrzuciłem albo dałem komuś, nie pamiętam. Stracił dla mnie wszelką wartość.

W zdjęciach jest podobnie, czasami kolor jest tak niezwykle, że nie interesuje mnie, co na zdjęciu jest przedstawione; sam kolor jest tematem. I kobiece ciało.

Szkoda, że piękno nie jest teraz w sztuce ważne. Chociaż wydaje mi się, że wróci, bo zawsze wraca, wcześniej lub później, bo „podziwiamy je, gdyż gardzi łaskawie naszym unicestwieniem”.

Tak, piękno nas unicestwia.

I jest nierozdzielnie związane z emocjami. Nie umiem przeżywać sztuki intelektualnej. Och, oczywiście, doceniam ją, dostrzegam jej niezbędność, wielbię „Czarny kwadrat na białym tle”, sam czasem tworzę coś podobnego, jak na przykład „Projekt kreski na autostradę” z siedemnastoma warstwami laserunków, ale to jest coś innego i nigdy nie jest dla mnie tak ważne. Słuchając „I koncertu skrzypcowego D-dur” Brahmsa zwyczajnie odpływam; tak samo mam z „Koncertem Kolońskim” Jarretta, z występem na JJ `70 The Trio Johna Surmana, z „Machinegun” Hendrixa, z „Trzecią Symfonią Pieśni Żałosnych” Góreckiego, z „Ad nos, ad salutarem undam” Liszta – wszędzie tam jest dusza, przeżycie, emocja, tam czuję, że sztuka jest jedynym językiem dającym porozumienie. A Ellery Eskelina słuchać nie potrafię – jest wspaniały, wiem, doceniam jego umiejętność grania na 5/11, 19/17 albo 7859/7367, tylko nie wiem, po co gra w takim metrum, nie rozumiem, nie dociera to do mnie, nie czuję w tym przeżycia, a tylko intelekt i chęć zaskoczenia słuchacza, popisania się, i nie jest ważne, jaka jest jego intencja – ja to tak odbieram. Joe Zawinul też tak potrafi, ale u niego skomplikowane metrum odbieram jako puls, nad którym unosi się muzyka... I nie zastanawiam się, nie liczę, ile to na ile, bo to jest nieistotne, zupełnie. Słucham muzyki, wspaniałej muzyki.

Wielka sztuka jest prosta, a przynajmniej takie robi wrażenie, bo uderza w nas, unieruchamia, niszczy i odbudowuje zaraz potem, przemienia. Bez emocji i przeżycia sztuki nie ma, sam intelekt tego nie zastąpi. Inaczej wciąż istniała by poezja konkretna.

A najlepiej, kiedy jest jedno i drugie, wtedy dzieło pozostaje w nas na zawsze, drapie, uwiera, nie daje o sobie zapomnieć. Jak „Wypadek w muzeum” Olafa Brzeskiego, której to pracy nie potrafię zapomnieć (i nie chcę), jak Elegie Duinejskie, fotografie Sarah Moon i Helmuta Newtona, „Mistrz i Małgorzata”, „Pulp Fiction”, obraz Maćka Bączyka ze swastykami, Borghes...

Idealnie pokazuje to, co chcę powiedzieć, „Jesień w Pekinie” Viana – książka zaczęta jako wygłup porwała autora i od połowy staje się niezwykła i mistyczna...

- Nie wiem, czy mogę się całkiem z tobą zgodzić.
- Dlaczego?
- Bo piękno się wyczerpało, spłowiło, za dużo jest go wokół, przestało być odświeżające. Czuję w tym, co mówisz, demagogię. Normalne jest, że twórcy szukają innego języka, że sztuka idzie do przodu; używając trochę napuszonego określenia: penetruje nowe terytoria...
- Ależ ja nie mam nic przeciwko temu! Sam ciągle poszukuję. Tylko zbyt często widzę, że ktoś robi coś „innego” na siłę, aby się wyróżnić.
- Czyli chodzi ci o intencję?

Siedziała naprzeciwko, nagle piękna i wciąż nieodgadniona, wciąż przede mną zamknięta, niedopowiedziana. Moje zaciekawienie po tym pierwszym spotkaniu zamieniło się w fascynację. To, że mi pozowała, nic nie zmieniło między nami – owszem, była bliskość, zrozumienie, wspaniała praca, ale ciągle mi się wymykała, wciąż czułem jej dystans. Przy pozowaniu też nie zachowywała się swobodnie, była sztywna, dziwnie się ustawiała...

- Wspomniałeś o jakiejś dentystce.
- Kiedy?
- Ostatnim razem, jak opowiadałeś o alkoholu i o Hormonie K...
- Ach... Tak. W jakimś sensie to znowu jest opowieść o alkoholu. To przez to, że ja piję bardzo rzadko... Dlatego każde większe spożycie tak wbija mi się w pamięć.

- Ja upiłam się tylko raz i wołałabym tego nie pamiętać.
- Tak?
- Wróciłam do domu w środku nocy. Jacyś koledzy mnie odwiedzili. Otworzyła mi kuzynka, na szczęście. Zobaczyłam się wtedy jej oczami: zarzygana, błada, z nagimi piersiami... Straszne. Od tej pory nigdy się nie upiłam. I nigdy tego nie zrobię.
- To był twój pierwszy raz?
- Tak, i ostatni.
- Ja debiutowałem wcześniej. Jak miałem pięć lat. Rodzice robili imprezę, a ja w kuchni z kolegą z przedszkola, niejakim Pietraszkiem, piliśmy wiśniówkę. Nie smakowała nam, więc ją po każdym łyku dosładzaliśmy, no a potem rodzice nigdy mi nie powiedzieli, jak wyglądało odniesienie kolegi Pietraszka do domu...
- Niezłe przedszkole.
- Owszem, niezłe. Mieliśmy dwa gangi: Muchomorków i Piaskowych Dziadków. Trzy dziewczynki założyły też minigang Agatki, ale one się nie liczyły, bo nie używały brzydkich słów i nie chciały pokazywać majtek. Ja byłem w Muchomorkach i miałem ksywkę Browarek. Odpowiadałem za aprowizację. Na ustawki w piaskownicy z Piaskowymi Dziadkami rzadko chodziłem, bo byłem najmniejszy. Naszym szefem był prawdziwy Cygan, ksywka Czarny.

Najbardziej lubiliśmy zabawę w doktora: zrobiliśmy sobie w pomieszczeniu na wózki porządną przychodnię, z rejestracją i kilkoma gabinetami różnych specjalizacji. Mówię ci, zawsze były kolejki, jak w prawdziwej przychodni! Nawet kucharki czasem przychodziły się z nami bawić – zawsze, jak lekarzem był pan Mareczek, kierowca z zaopatrzenia.

- Tak, a Piaskowe Dziadki założyły knajpę?
- No dobrze, wymyślam, ale z kolegą Pietraszkiem to było naprawdę! I od tamtej pory to przez całe lata nic, Sylwestry przy soku owocowym, aż do siedemnastego roku życia...

Postanowiłem wtedy sprawdzić, jak to z alkoholem jest, bo czytałem akurat w kółko Dostojewskiego i chciałem zakosztować piękna upadłej duszy, jak Marmieladow. Kupiłem więc pół litra, nalałem sobie szklankę, wypilem duszkiem, stwierdziłem, że ohyda, nalałem drugą, zacząłem pić, ale zaraz po pierwszym łyku zrobiło mi się okropnie niedobrze, więc... Rano sprawdziłem balkon: albo w nocy było oberwanie chmury, albo brat sprzątnął...

- No ale co z tą dentystką?
- A z dentystką to było coś innego, głębszego, w dosłownym znaczeniu tego słowa.

Od drugiego naszego wyjazdu nad Jezioro zaczęli się podczas naszego pobytu pojawiać dentyści z Częstochowy, dwie pary około czterdziestki. Dziani jak cholera. Jacek ich nawet lubił, bo z kasą u nas nie było za dobrze, a oni pojawiali się na Wyspie bez nachalności, co kilka dni, za to za każdym razem z własną wódką. Ja miałem co do nich mieszane uczucia. Owszem, rozpraszali monotonię naszego pobytu, ale rozmową mnie raczej nie porywali, a do wódki od mojego pierwszego przyjazdu czułem ciągle dziwny wstręt. Tacy dość zwyczajni byli, z tematów poruszali program telewizyjny albo ceny.

Pary tworzyli tak bardziej oficjalnie, bo po kilku kieliszkach zaczynali snuć bez żenady opowieści o swoich przygodach pozamałżeńskich, a kluczową i zawsze powtarzaną oraz obśmiewaną była jakaś scena w rowie z jedną z nich w roli głównej. Nazwę ją Dorota, bo nie pamiętam, jak się nazywała. Pozostała trójka co i rusz rzucała aluzje: „Dorota, z nim to trzeba tak jak wtedy, w rowie...” I ha ha ha...

Dorota była straszliwie chuda, same kości, bez biustu, z makijażem na centymetr grubości, bardzo, bardzo błękitnym... Z daleka wyglądała jak zimorodek. Z bliska znacznie gorzej - czaszka obciągnięta skórą...

Chyba podczas naszego trzeciego wyjazdu na jeziorze pojawił się jakiś facet z dużą motorówką. Debil zupełny, bo dla nas jezioro było duże, ale dla motorówki to były dwie minuty w każdą stronę. Chociaż... może nie taki debil, wiedział, co chciał, bo za każdym

razem płynęła z nim taka ładna ciemna i o ile mogliśmy z daleka dostrzec – znacznie młodsza. Tyle, że nam płoszył ryby, więc zrobiliśmy naradę, jak się go pozbyć. Na pomysł wpadliśmy ekstrawagancki: przy jego kolejnym przejeździe, ledwie usłyszeliśmy z daleka ryk silnika, wylecieliśmy na pomost, ja i Jacek, całkiem nadzy, przy czym Jacek udawał, że lornetuje, a ja stałem na baczność z czerwonymi majtkami na kiju udającymi flagę i salutowałem. Sukces był pełen, bo facet po drugim razie więcej nie pływał – pewnie ta młoda ładna zbyt szybko się nam przyglądała...

Za to kiedy tym drugim razem, roześmiani, wracaliśmy do obozu, czekali na nas dentyści. Jacek coś pisnął i zniknął, ja też się zawstydzilem golizny, ale widocznie zbyt wolno i godnie uciekłem w krzaki, bo od tej pory nie miałem życia: Dorota zagięła na mnie parol i postanowiła mnie mieć i już.

Rany, co ja się nauciekałem... Oni z płyną z jednej strony, ja na zakupy od drugiej strony wypływam. Jak nie zauważyłem, że przyplływają, to natychmiast zaczynałem budować kolejny pomost i absolutnie nie życzyłem sobie pomocy, chociaż Dorota bardzo się do pracy garnęła. Wszyscy wiedzieli, o co chodzi, i z zapartym tchem czekali: uda się jej czy nie uda? Raz mnie upiła, więc udawałem nieprzytomnego. Nic by to nie dało zresztą, bo jej to nie przeszkadzało wcale, przeciwnie nawet, ale mnie Jacek obronił, kochany, mówiąc, że musi przy mnie czuwać, bo taką mamy umowę przy mojej klaustrofobii. Że przysięgał. (A tak na marginesie to klaustrofobię to on miał, nie ja, i to mnie dusił w nocy krzycząc „mamo!”, tak że musiałem się zgodzić na spanie z głową na zewnątrz namiotu, dopóki nie zamieszkał z Izą, jak wreszcie przyjechała. Jej nie dusił... Nie skarżyła się, w każdym razie.)

Wszystko to przez wrażliwość. Zwyczajnie nie umiałem kobiecie wyrządzić przykrości i powiedzieć, że jest dla mnie nieatrakcyjna, a jej nachalność jest odpychająca. Toteż uznała, jak sądzę, że jestem bardzo nieśmiały...

W końcu mnie jednak dorwała. Przyplnęli pod wieczór zrobić ognisko, a jak je już rozpalili, to zaczęli mi śpiewać sto lat, bo to były akurat moje imieniny, 29 czerwca. Prezenty też mieli, każdy po pół litra i kwiatek z ogródka Wujka. Nie wypadało nie przyjmować życzeń, więc uśmiecham się i dziękuję, każdemu podaję rękę, całuję policzki, nawet Jacek pamiętał o moim święcie i dał mi coś – nie pamiętam, ale chyba krasnopiórę. To taka ryba.

No, a na końcu do życzeń podeszła Dorota i z miejsca wpiła mi się w usta. Stoję jak rażony gromem, zaciskam wargi, ale ona wpycha mi na siłę język do ust i zaczyna jęczeć. Towarzystwo ryknęło śmiechem i zaczyna dopingować, ja nie wiem, co mam robić, a Dorota zaczyna manipulować mi przy pasku od spodni. Naprawdę! To może śmiesznie brzmi, ale śmieszne nie było... Zacząłem się wyrwać, ale nie na siłę, żeby jej nie urazić – wciąż miałem skrupuły. Ona się wije i przylega, przyssała się do mnie na całego, reszta siedzi na ziemi i płacze ze śmiechu, a ja w panice szukam sposobów na wyrwanie się bez utraty twarzy i bez obrażenia Doroty...

Nie znalazłem.

Dalej nie będę tego opowiadał, bo się wstydzę.

- ?...

- No dobrze, powiem. Powiedziałem jej, że dam jej pięćdziesiąt złotych, jak mnie puści...

Więcej ich nie zobaczyliśmy już, przestali przyjeżdżać.

- A co ona powiedziała, jak jej chciałeś zapłacić?

- Ledwie zdążyłem się uchylić...

- To rzeczywiście nie jest śmieszne.

- Ano nie jest, bo do tej pory czuję obrzydzenie, jak sobie przypominę ten jej język...

- Żałujesz, że jej to powiedziałeś?

- Wiem, że to głupie, ale tak. Bardzo. Wprawdzie próbowała mnie właściwie publicznie zgwałcić, ale zrobiłem jej przykrość i mam do siebie o to pretensje. Że nie umiałem wymyślić nic innego...

- A ona rzeczywiście była taka odpychająca?
- Nie, raczej nie, nie aż tak jak mówiłem; ja przecież lubię chude dziewczyny, może nie aż tak chude, ale tu trochę przekoloryzowałem. To ta jej nachalność mnie zrażała.
- No tak, mężczyzna musi łowić, zdobywać, podobno.
- Podobno.
- A ty? Co najbardziej lubisz w kobietach?
- Czułość. Inteligencję. I zaufanie.
- Naprawdę? Czy to tylko takie ładne słowa?
- Naprawdę. Bardzo naprawdę. To nie są tylko ładne słowa. Bo ja jestem trochę bezbronny, kiedy komuś ufam. Łatwo mnie okłamać.
- Ja boję się zaufania, nie potrafię tak do końca.
- Tak jest bezpieczniej, wiem.
- Nie, chyba jednak nie wiesz.
- Może... Wiesz, kiedyś przeczytałem pewne zdanie, w „Człowieku zbuntowanym” Camusa, i odtąd staram się według niego żyć. Nie jestem pewien, czy zacytuję dokładnie, ale brzmiało to mniej więcej tak: „Jeżeli ktoś raz jeden zobaczył blask szczęścia w oczach kochanej istoty jasnym jest, że nie ma innego powołania dla człowieka, jak budzić to światło w otaczających nas twarzach”. To jest piękne. I prawdziwe.
- I co, udaje ci się tak, według tych słów?
- A skądże. Staram się, i tyle. Zwykle mi nie wychodzi. Duszyczkę mam podłą i egoistyczną. Ale na pewno, tego jestem pewien, zupełnie pewien, warto tego szukać. Tylko tego. Blasku...
- Naprawdę Camus to napisał?
- Tak. Potem jest jeszcze dalszy ciąg, dopełniający egzystencjalistycznie, ale mi się nie podoba, więc go sobie zapomniałem.
- To trochę za ładne, żeby było prawdziwe.
- Toteż mówiłem ci, że próbuję, ale nie wychodzi mi. Jak ktoś zaczyna mówić o aureoli, to wszyscy zaczynają jej szukać nad jego głową i z tryumfem ogłaszać, że jej nie widzą... Nie, nie jestem dobrym człowiekiem i boli mnie, że nie potrafię nim być. Tyle dobrego, że o tym wiem.
- Jak znam ludzi, to wciąż ci o tym przypominają.
- Że nie jestem?
- Tak. Bo o tym mówisz. Nie należy o tym mówić.
- Oczywiście, że tak.
- A jak ktoś jest skurwysynem, ale uśmiechniętym, to wszystko jest w porządku. Jak głosi pochwałę skurwysyna, albo nawet przedstawia to jako zaletę, to też w porządku. Kurwa, jak je tego nienawidzę!

Powiedziała to cicho, ale z pasją.

- Ale ci dopiekl... Kto to był? Ktoś bliski?
- Najbliższy.
- Jak ja to dobrze znam. Tych moralnych...
- Możesz mnie przytulić?

Powiedziała to nagle; cichutko i z lękiem. Widocznie od jakiegoś czasu o tym myślała. Podeszedłem i objąłem ją, zacząłem gładzić po plecach i głowie, powoli, miękko. Czułem, że dzieje się coś ważnego, więc uważałem, żeby mój dotyk był zdecydowany, ale delikatny i ograniczony do pleców jedynie. Po chwili chciałem ją puścić, ale nie pozwoliła na to i wtuliła się we mnie.

Nie wiedziałem, jak mam się zachować. Wszystko we mnie krzychało o działaniu, ale...

- Jaki jest twój facet?

Szarpnęła się do tyłu i usiadła. Oczy jej pociemniały.

- Dlaczego pytasz?
- Bo nie chcę być na trzeciego, raz mi wystarczy.
- Jak to było?
- Nie chcę o tym mówić. To było złe. Nie, nie chcę o tym mówić.

Cisza między nami była niedobra, napięta; czułem, że wszystko zepsułem. Trudno... Szlag.

Jak zawsze w takich sytuacjach nie pomyślałem, że ona czuje to samo, że jest jej też źle i też się obwinia. Spojrzała mi prosto w oczy i powiedziała:

- Przepraszam.
- Zupełnie nie ma za co.
- Nie gniewasz się?
- Słuchaj, mi nie chodzi o to, żeby cię zaciągnąć do łóżka. Podobasz mi się jako osoba i jako kobieta. Bardzo mi się podobasz. I bardzo chciałbym się z tobą spotykać, pracować, rozmawiać, ale... Nie, bez ale. To ja przepraszam.
- Chyba pójde już, tak?

Chciała, żebym ją zatrzymał. Ale nie zatrzymałem.

Zadzwoiła do mnie po dwóch dniach, chciała się umówić na zdjęcia. Nie chciałem, zabrałem ją do kina.

Następnym razem do parku i na koktajl zamiast piwa.

Nie prowadziłem żadnej gry; zwyczajnie nie chciałem robić zdjęć w tym momencie, nie z nią. Robienie aktów jest zawsze – przynajmniej w moim wypadku – bardzo osobiste, a jeśli modelka nie jest wynajęta, jeśli jej nie płacę, to relacje między nami stają się naprawdę głębokie i bliskie. Ubranie jest rodzajem maski, upiększa, chroni, obiecuje... Jeśli go nie ma, jeśli zostaje zdjęte do pracy, to nagle widać całą niedoskonałość ciała: lekko obwisłe lub zbyt małe piersi, brzydkie czerwony odcisk krzesła na pośladkach, skazy na skórze... Nie miałem jeszcze modelki idealnej, chociaż na zdjęciach takimi się często stają.

Zdjęcie ubrania bez podtekstów erotycznych bardziej niż cokolwiek innego odsłania osobowość. Nie ma się za czym ukryć, nie ma czym zamaskować pustki, głupoty albo innych niedobrych cech. Jest ciało, któremu jako twórca mogę oczywiście nadać piękno czy tajemniczość, ale to jest ingerencja już... Rozmowa z nagą kobietą nadaje jej ciału niezwykłą osobistość, jakieś odniesienie do niej samej: to są jej piersi, jej biodra, tak jak i jej oczy czy uśmiech. I jeśli jest to osoba fascynująca, wspaniała jako człowiek, to jej brzydkie miejscami albo niedoskonałe ciało staje się z nią jednością, nie ma ładniejszych czy brzydszych fragmentów, staje się fascynujące i wspaniałe jako całość.

O ile nie ma w tym erotyzmu, bo to jest zupełnie inna bajka.

Zrobiłem trochę zdjęć kobiet niezbyt mnie intrygujących, że tak łagodnie je określe. I chociaż są to fotografie obiektywnie dobre, a nawet bardzo dobre, to dla mnie jest w nich coś fałszywego i nie lubię ich. Cenię, może, ale nie lubię. Za duży jest kontrast między tym, co widzę, a tym co wiem.

W wypadku Kasi zgrzyt, jaki nastąpił po naszym przytuleniu, zrodził we mnie dystans. Musiałem poczekać, aż zniknie, musiałem odbudować fascynację, ciekawość, bo inaczej zdjęcia byłyby drewniane, obojętne, a takich nie chcę robić. Nie czułem zawodu – zresztą nie wiem, co czułem. Raczej nie wierzyłem, że to odbudowanie się uda.

Po dwóch tygodniach i trzech neutralnych spotkaniach umówiliśmy się u mnie. Nie na zdjęcia, tylko ot, tak, pogadać i zobaczyć „Piąty element”.

Od początku coś zaskoczyło, jakby jakaś zapadka w nas czy co... Wyparowała cała obcość, nagle mówiliśmy i słuchaliśmy siebie bardziej jeszcze intensywnie, niż przedtem. Może dlatego, że oboje tak bardzo chcieliśmy powrotu do wcześniejszego niedopowiedzenia i niedookreślenia naszej znajomości?

Zaskoczyło mnie to; doświadczenie mnie nauczyło, że jeśli pojawi się dystans, to raczej już na stałe. Początkowo byłem więc trochę chłodny, ale Kasia była tak otwarta, tak prawdziwa, że moja nieufność znikła.

Kiedy usiedliśmy, żeby obejrzeć film, o pół metra od siebie, czułem tę odległość jak ścianę, jak coś materialnego. I czułem, że ona też to czuje, że nie może się na filmie skoncentrować, bo nasze oddalenie jest nienaturalne i niewłaściwe. Kiedy w końcu sięgnąłem i przygarnąłem ją, wtuliła się we mnie z pomrukiem ulgi.

Po skończeniu oglądania nadal siedzieliśmy lekko przytuleni. Przez kilka minut nic nie mówiliśmy, bo było nam po prostu dobrze, dobrze ze sobą i dobrze w ciszy. Głaskałem ją lekko po głowie i właśnie zastanawiałem się, co dalej, kiedy ona szeptem powiedziała:

- To był zakład.
 - Słucham?
 - To był zakład; założyłam się, że dam się odprowadzić pierwszemu facetowi, którego ona wskaże...
 - Jaka ona?
 - Barmanka, pamiętasz? Koleżanka.
 - Pamiętam. W białej koszulce i bez stanika.
 - Facet. To zawsze zauważycie. Nie gniewasz się?
 - A o co? Bardzo dobrze się stało. Zuch dziewczyna. Bez niej byś nie zwróciła na mnie uwagi. Kupię jej „Pawelka”...
 - Ona nie je słodczy.
 - To jej zrobię gipsowy odlew do powieszenia na ścianie. A wybrała mnie, bo chciała być złośliwa?
 - Przestań z tymi swoimi kompleksami. I chcę ci powiedzieć jeszcze coś... obiecujesz, że nie będziesz się gniewał? Ja nie powiedziałam ci prawdy.
 - O czym?
 - O nim. Ja z nim zerwałam już dwa miesiące temu. Przepraszam, że udawałam... Bałam się. A potem myślałam, że wszystko zepsułam.
- Pocałowałem ją w ucho. Milczałem.
- Dlaczego nic nie mówisz? – spytała z niepokojem.
 - Bo jest mi dobrze. Bardzo jest mi dobrze.

Następnym dnia znowu usiadła naprzeciwko mnie, z podkulonymi nogami. Miała na sobie biały podkoszulek, ode mnie, długi za kolana, bo jak szła do mnie, to strasznie lało i cała przemokła.

W tym momencie nadal padało, choć już nie tak bardzo. Krople stukały w blaszane parapety, nadając muzyce Archive inną, pełniejszą przestrzeń. Światło lampy padało na ścianę, kryjąc twarze w półcieniu, ale widziałem blask jej oczu. Na stole stała wystygła herbata i wciąż jeszcze nie odjechał ostatni tramwaj,

Poprzedniego wieczoru była bliskość i nic więcej, chociaż czułem, że ona tego „więcej” chciała, a w każdym razie spodziewała się. Powiedziałem jej wtedy, że chcę zatrzymać na trochę czas... Przedłużyć, smakować chwilę. I poczułem, że mam rację, kiedy w jej oczach zobaczyłem ulgę.

A teraz siedzieliśmy naprzeciwko siebie i czekaliśmy, kto wykona pierwszy gest.

*

Wykonałem go.

Kiedy zdjąłem z niej koszulkę i przytuliłem, poczułem pod dłońmi, że ma niezwykle, cudownie miękkie plecy. Czekala na to moje odkrycie, cała napięta i sztywna, wstrzymała

nawet nieświadomie oddech. Żeby ją odwrócić, musiałem być zdecydowany, bo lekko się broniła, usiłując zwrócić moją uwagę na piersi i przytrzymując moje dłonie. Dopiero, kiedy zacząłem ją po plecach całować, gładzić, pieścić, kiedy spojrzała mi w oczy i zobaczyła, że mój zachwyt jest prawdziwy – zaczęła się powoli rozluźniać, jakby nie mogąc uwierzyć, że ją akceptuję, że nie jest dla mnie wstrętne.

Nie, nie była. Była piękna, była idealna, była jedyna i kochana.

Mógłbym teraz zrobić efektowne zakończenie, ale wtedy to by była opowieść w całości prowadzona do puenty, a tego nie chcę, bo to tani chwyt. Moim zamiarem było opisać rozwój i przebieg znajomości z Kasią, bo spotkanie, a potem bycie z nią było naprawdę niezwykle, tak jak niezwykle jest ona osobą. I najmniej ważny jest w tym fakt, że Kasia ma plecy pokryte delikatnym, beżowym futrem. Ważny jest tylko o tyle, że jej lęk przed ujawnieniem tego dał nam miesiąc niezwykle przeżyć. A o tym, co było potem, opowiem przy innej okazji – albo i nie opowiem, zobaczymy.

DOKOŃCZENIE, CZYLI CO BYŁO POTEM.

Po namyśle zdecydowałem się jednak na puentę.

Dwa dni później zadzwoniła do mnie rano, żeby podzielić się ze mną radosną wieścią. Spotkała otóż cudownego faceta, który między innymi wykupił dla niej całą cukiernię i z którym wspaniale się rozumie. I jest niezwykle i tak dalej. O nadziei, że zostaniemy przyjaciółmi, nie warto wspominać.

Tak naprawdę to było następnego dnia, ale w to na pewno nikt mi nie uwierzy.

KONIEC